

## O rozterkach królewskiego więźnia na wyspie Lindisfarne i o jego przygodzie w karczmie Pod Czerwonym Kurem

**B**jørn Stenskalle szedł powoli, ostrożnie stawiając stopy na wąskiej oszronionej ścieżce. Brzeg Świętej Wyspy nie był w tym miejscu wysoki, wznosił się zaledwie sążeń\* nad usianą głazami plażą, ale upadek z całą pewnością skończyłby się tragicznie. Bjørn mimo woli uśmiechnął się. Przyszło mu do głowy, że wielu ludzi ucieszyłaby wieść o jego śmierci. Inni płakaliby co prawda z żalu... ale tylko dlatego, że przedtem nie zdołali dostać go w swoje ręce.

Gdy przed kilkoma miesiącami stary wiking przybył na zagubioną na krańcu świata wyspę, wydawało się, że nic mu nie grozi. Lindisfarne było otoczone morskimi falami, a gdy te cofały się podczas odpływu, ich miejsce zajmowały niegościnne mokradła, na których żyły tylko ptaki. Oprócz garstki mnichów i pasterzy owiec, nikt tu nie mieszkał i przez jakiś czas wydawało się, że wrogowie o nim zapomnieli... Niedługo potem ścigająca go klątwa zaczęła zbierać swoje żniwo. Świadczył o tym cmentarz za opactwem, na którym od ubiegłej wiosny pojawiło się siedem świeżych mogił. A wszystko to z powodu tajemniczego przedmiotu, który przed laty zdobył i ukrył w tylko sobie znanym miejscu.

– Brendan nie daje mi spokoju, wciąż pyta, gdzie to schowałem... – mruknął stary wiking i westchnął ciężko.

Opat był dobrym człowiekiem i więzień szczerze go polubił. Długie dni, podczas których na polecenie króla Knuta opo-

---

\* Sążeń – miara długości równa trzem łokciom, czyli około 1,8 metra.

wiadał mu całe swoje życie, bardzo ich zbliżyły, a poza tym czuł się wobec niego winny. Gdyby w swoim czasie nie pojawił się na Lindisfarne, jego przyjaciel żyłby spokojnie, a małą społecznością wyspy nie wstrząsnęłyby ponure zbrodnie. To jego przybycie sprawiło, że świat mnicha legł w gruzach.

– Nie powiem mu całej prawdy. Tak będzie bezpieczniej, zbyt wielu ludzi już zginęło... – zaburczał Bjørn i natychmiast zbeształ się w myślach. Samotne wycieczki po wyspie sprawiły, że nabrał zwyczaju mówienia na głos, a przecież nie był człkiem niespełna rozumu.

Fale przyływu powoli zaczęły wdzierać się na ląd, woda wzbierała, zalewając głazy u podnóża klifu i płosząc żerujące tam rybitwy. W oddali kilkanaście czarnych punktów przecięło tafłę morza – to fokki świętego Cuthberta wracały ze szkiełków Farne na swoje łowisko nieopodal Świętej Wyspy. Stenskalle przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu wszystkie kości, i głęboko odetchnął, wypuszczając z ust mały obłoczek pary. Poczł, że burczy mu w brzuchu, i uznał, że najwyższa pora wracać do klasztoru, gdzie brat Remigiusz przygotował ciepły posiłek.

Gdy dotarł do zabudowań opactwa, dochodziło południe. Z kuchni napływał smakowity zapach polewki piwnej.

Stenskalle bez słowa zasiadł do stołu w refektarzu\* i zanurzył rogową łyżkę w misce. Mnisi i wikingowie posilali się w milczeniu, siorbiąc gorącą zupę, wylawiając z niej smakowite grudki i zagryzając owsianymi plackami.

– Wyborna potrawa, Remigiuszu... – mruknał z pełnymi ustami Bjørn. – Mógłbyś karmić miłościwie nam panującego Knuta, a wierz mi, wiem, co mówię, bo jadałem na niejednym królewskim dworze.

Kucharz zarumienił się z ukontentowania i nie pierwszy raz pomyślał, że Normanowie, których on i jego współbracia muszą

---

\* Refektarz – sala jadalna w klasztorze.

tolerować w opactwie, nie są tacy źli. Była to spora odmiana, bo jeszcze niedawno całkiem poważnie zastanawiał się nad ich otruciem. Szczodrze zaczerpnął chochlą z dna kociołka i wlał do miski Bjørna dodatkową porcję zupy.

Po posiłku wszyscy zasiedli wokół ognia buzującego na paleńniku i chłonęli miłe ciepło. Zwyczaj kazał, aby zimą, gdy mnisi nie pracowali w polu, więcej czasu spędzali pod dachem, przepisując księgi, jednak wśród mieszkańców Lindisfarne jedynie Brendan biegle posługiwał się piórem, tak więc Anzelm latał swoje rybackie sieci, a Remigiusz zręcznie wyplatał kosze z wikliny. Goście towarzyszyli im, naprawiając broń i cerując ubrania, a wspólnej pracy jak zwykle towarzyszyły niekończące się opowieści.

Opat starał się zazwyczaj przytoczyć jakąś budującą historię z *Żywotów świętych*, a wikingowie słuchali w skupieniu i chwaliłi, zwłaszcza gdy mowa była o męczennikach, którzy oddali swoje życie za wiarę. Było to dość niepokojące, jeśli wziąć pod uwagę, że przed laty Bork Jorundsson i jego ludzie brali udział w napadach na klasztor i z całą pewnością mieli na sumieniu duszę niejednego zakonnika. O tym jednak nie wspominali zbyt często, bo wiedzieli, że król Knut, któremu służyli, jest dobrym chrześcijaninem.

Bork wspominał za to dzieje krwawych rodowych waśni i przygody, których doświadczył podczas dalekich wojennych wypraw, zaś prawdziwym mistrzem opowiadania był Czarny Glum, którego worek z baśniami wydawał się nie mieć dna.

Tego dnia głos zabrał jednak Stenskalle.

– Wszyscy mamy już dość zimy, a to przypomina mi najwspanialszą wiosnę, jakiej doświadczyłem w swoim życiu. Byłem wówczas bardzo młody i bardzo głupi, więc wydawało mi się, że cały świat stoi przede mną otworem. Nie wiedziałem, że kto raz wejdzie na ścieżkę wiodącą w nieznane, ten nieprędko z niej zawróci... Ale zacznę od początku.

Wszyscy rozsiedli się wygodnie wokół ognia, a Bjørn pokrępił się piwem i rozpoczął opowieść:

Wyruszyliśmy z Magdeburga pewnego pięknego wiosennego dnia: ja, Bolko, Gawor, Sulik, Boruta i obaj bliźniacy. Garść szczeniaków, których łaska cesarzowej Teofano wybawiła z „gościny” w Zamku Sokołów. Nie mieliśmy ze sobą juczych koni, a cały nasz majątek stanowiły ostre miecze zawieszane u boku i sakiewki pełne srebra, w które zaopatrzył nas zapobiegliwy Żyd Ibrahim. Pędziliśmy gościńcem, a na nasz widok ludzie czym prędzej ustępowali z drogi. Byliśmy młodzi, uzbrojeni i na pierwszy rzut oka widać było, że nie mamy nic do stracenia.

Najprostsza droga do kraju Polan wiodła na zachód, lecz my skierowaliśmy wierzchowce nieco na północ, w stronę Brenny. Mieliśmy w sobie dość zuchwałości, aby rzucać wyzwanie całemu światu... Ale nie zamierzaliśmy dobrowolnie pchać się w łapy margrabiego\* Hodona, zwanego Zabójcą Słowian. Nie po tym, co ja i Bolko przeżyliśmy przed laty w jego piekielnym zamku.

– Niech mnie diabli wezmą, jeśli pojawię się pod murami Chociebuża inaczej niż na czele kilku setek tarczowników... – mruknął mój przyrodni brat i splunął na ziemię.

Miało to być soczyste charknięcie, dowodzące powagi jego słów, ale strużka śliny zawisała mu na brodzie i musiał wytrzeć ją rękawem.

– Może być, że tak właśnie zrobimy. – Sulik uśmiechnął się pod nosem. – Ale na razie jest nas tylko siedmiu, więc lepiej nadłóżmy drogi.

Ja byłem tego samego zdania, a to oznaczało, że do domu musimy wrócić przez ziemie Stodoran, i taki właśnie obraliśmy kierunek.

Jechaliśmy przez spokojny i dostatni kraj zamieszkały przez saskich osadników. Na zazielenionych polach widać było kielku-

---

\* Margrabia – pan feudalny podlegający cesarzowi, sprawujący pełnię władzy cywilnej i wojskowej nad terenem przygranicznym, czyli marchią. Z czasem godność margrabiego przekształciła się w tytuł szlachecki pośredni rangą między hrabią a księciem.

jący owies i jęczmień, na łąkach pasły się stada tłustego bydła, a w dębowych zagajnikach pochrząkiwały czarne, szczeciniaste świnię, pilnowane przez gromady dzieciaków. Znad mijanych domostw wzbijały się w niebo kłęby siwego dymu, znak, że gospodarze szykują posiłek.

– Przyjdzie czas, gdy te wszystkie strzechy staną w ogniu... – powiedział z ponurą zawziętością Gawor. – Hu! Ha! Oj, zapłaczą jeszcze Sasi, zapłaczą, gdy Wieleci przyjdą do nich w gościnę!

Nagle zdałem sobie sprawę, że przyjaciel pochodzi z plemienia naszych odwiecznych wrogów i że jego pobratymcy równie chętnie jak niemieckie, palili domostwa Polan. Podczas pobytu w Zamku Sokołów zupełnie o tym zapomniałem, tam byliśmy braćmi, nagle wszystko się zmieniło.

– A jeśli główny kapłan Swarozycy\* każe ci zanieść wojenną pozogę do Poznania i Gniezna, co zrobisz, synu Burzywoja? – spytałem.

Gawor zadumał się, widać było, że podobna myśl aż dotąd nie powstała mu w głowie. Jego ojciec przewodził obrządkom w świątyni w Radogoszczy, to on prowadził za uzdę świętego konia, odczytując z jego kroków wolę boga. Bywało, że Swarozyc kazał atakować krainy Sasów i Turyngów... Ale równie często hordy wojowników odzianych w wilcze skóry wyprawiały się na drugą stronę Odry, gdzie rozpościerały się ziemie Mieszka.

Moje pytanie wyraźnie go zakłopotало.

– Nikt mnie nie zmusi, żebym podniósł rękę na druhów! – odparł w końcu hardo. – Dopóki on nie każe mi walczyć przeciwko swoim – skinął głową w kierunku Bolka – będę mu wiernie służył! Klnę się na słońce!

---

\* Swarozyc – bóg słońca, nieba i ognia czczony na Połabiu, prawdopodobnie tożsamy z Dadźbogiem i Swarogiem. Główną świątynią Swarozycy była Radogoszcz (Retra) na terytorium plemiennym Redarów – główny ośrodek polityczny Związku Wieleckiego.

Więcej o tym nie rozmawialiśmy. Przy okazji niejako przypadkiem dowiedziałem się, że już nie jestem przywódcą Sokołów. Nie było w tym nic dziwnego, czasy niewoli skończyły się, a mój przyrodni brat był uznanym synem księcia i przyszłym rozdawcą srebra. Doskonale to rozumiałem, ale mimo to poczułem w sercu ukłucie żalu. W swoim czasie obiecałem Bolkowi wierność, ale czy to oznaczało, że miałem we wszystkim mu ustępować?

Bolko chyba zobaczył moją minę, bo uśmiechnął się triumfalnie, a potem wysforował konia na czoło pochodu, żeby wszyscy musieli podążać za nim.

Słońce kryło się za horyzontem, gdy dotarliśmy do miejscowości Plothe nad Hobolą, niewielkiej, ale zamożnej i chronionej przez zameczek miejscowego rycerza. Od mijanych kmieci dowiedzieliśmy się, że miejscina tak naprawdę nazywa się Płot, a jej właściciele, choć doszczętnie zniemczeni, wywodzą się od dawnych władyków z plemienia Morzyczan.

Przeprawiliśmy się przez rzekę i nieopodal rozległego stawu znaleźliśmy karcznię, nad której wrotami zwiślał pomalowany na czerwono szyld w kształcie koguta.

– Staniemy tu na noc – zdecydował Bolko i nikt nie zaprotestował, bo wszyscy pogodzili się już z tym, że to on wydaje rozkazy.

Ledwo odstający od ziemi chłopiec z burzą jasnych włosów na głowie zaprowadził nasze konie do stajni, a my weszliśmy do gospody. Wewnątrz panował gwar i rozgardiasz, goście siedzieli przy stołach z wyslizganych łokciami desek i popijali piwo. Nasze przybycie nikogo nie zainteresowało, tylko zarośnięty jak wilkołak karczmarz skrzywił się, bo nie wyglądaliśmy na majątnych i nosiliśmy u boków miecze, a takie połączenie bywa oznaką kłopotów.

– Macie srebro? – spytał obcesowo, uprzåtając jeden ze stołów.

– Wystarczy na kilka garnców piwa i nocleg – odparł Bolko. – Będziemy spać w stajni razem z naszymi końmi.

– To dobrze, bo innego miejsca nie ma!

Kudłacz poszedł po napitek, a my rozejrzeliśmy się wkoło.

Czerwony Kur był podłużną drewnianą chatą, wspartą na kamiennej podmurówce, do której przylegała stajnia i pobudowane bez ładu i składu przybudówki. Do jej wnętrza przez dwa wąskie okna wpadały resztki dziennego światła, ale nawet w południe musiało tu być ciemno jak w głębi lasu. Jedyne od umieszczonego centralnie paleniska biła poświata wydobywająca z mroku część rozległej izby. W jej blasku widać było przymocowane do ścian łby żubrów i jeleni. Brakowało za to bronii, którą zazwyczaj wieszano obok myśliwskich trofeów – najwyraźniej karczmarz uznał, że podpitym gościom nie należy podsuwać jej pod rękę.

– Przytulnie – zauważył Gawor. – Mógłbym tu zamieszkać na zawsze, gdyby tylko prędeż podawali piwo.

– Ano – przytwierdził Boruta, oblizując suche wargi.

Jakby na zawołanie pojawił się kudłaty gospodarz, niosąc dzbany z napitkiem.

– Długo to trwało. Nie masz żadnej pomocy? – burknął Sulik.

– Zajęta – odparł opryskliwie zagadnięty.

Nie musiał nic więcej mówić. Przy sąsiednim stole rozsiadła się grupka miejscowych wojów, od razu widać było, że czują się w karczmie jak we własnym domu... Albo nawet lepiej. Rej wśród nich wodził potężny pacholek o byczym karku, który raz po raz wznosił do góry kubek z piwem i zaśmiewał się z czegoś do rozpułku. Obie dziewczki służebne przysiadły mu na kolanach i szczebiotały zalotnie. Z ich rozchelstanych koszul wychynęły dorodne piersi.

Moi przyjaciele na ten widok spochmurnieli. Dobrze wiedziałem, co roi im się w głowach.

– Takiemu to dobrze... Oj, dobrze... – Miłowit oblizał wargi.

– Nie gap się jak kocur na sikorkę, bo ci z oskomy\* ślina po gębie leci – zadrwił jego bliźniaczy brat.

– Liii... To tylko Niemki... – Bolko skrzywił się i udał, że szuka czegoś na dnie swojego kubka.

---

\* Oskoma – wielka ochota na coś.

Mimo woli uśmiechnąłem się. Podczas pobytu w Zamku Sokółów widywaliśmy dziewczęta. W chwilach wolnych od zajęć wyprawialiśmy się do pobliskiego Nienburga i poznaliśmy tam smak miłości, ja sam zakochałem się po uszy w córce młynarza i nawet chciałem się z nią żenić. W przeciwieństwie do nas Bolko spędził ostatnie lata niewoli w szkole katedralnej mistrza Otryka, a surowy nauczyciel nie tolerował u swoich uczniów podobnych wybryków.

– Z czego się śmiejesz? – warknął mój brat i poczerwieniał na twarzy zupełnie jak kogut z szyldu wiszącego nad drzwiami gospody.

Nie zdążyłem mu odpowiedzieć, bo do naszej rozmowy wtrącił się podpity pacholek.

– Macie ochotę na dziewczki, hę? – spytał z drwiącym uśmiechem. Mówił w ludzkiej mowie, trochę tylko sepleniąc. Albo wyuczył się podczas służby na pograniczu, albo sam pochodził z tych stron i miał domieszkę słowiańskiej krwi w żyłach.

– Bo co? – odwarknął Miłowoj.

– Bo jak chcecie, to możemy o nie zagrać w kości! – Niemiec roześmiał się i potrząsnął znacząco skórzanym woreczkiem. – Ale musicie mieć srebro! Dużo srebra! To jak będzie? Jesteście tylko gołowąsami, czy także... gołodupcami?

Jego towarzysze ryknęli gromkim śmiechem i zaczęli z uciechy walić pięściami w stół, rozlewając piwo. Dziewki natychmiast im zawtórowały, a w ślad za nimi rechotać zaczęli wszyscy zgromadzeni w karczmie, nie wyłączając gospodarza.

Położyłem ostrzegawczo dłoń na ramieniu Bolka, ale on gwałtownie ją strząsnął.

– Kości dobre dla sysunów\* – mruknął pogardliwie. – Może chcecie spróbować się jak mężowie?

Ku mojemu zdumieniu z poprzedniego zacierzwienia nic nie zostało, syn Mieszka mówił z chłodną zawziętością.

---

\* Sysun – osesek, dziecko karmione piersią.

Niemiec zmarszczył pytająco brwi.

– Co masz na myśli, chłopcze?

– Wybierzcie najlepszego z was, a my zrobimy tak samo – wyjaśnił Bolko. – Niech się spróbują na miecze.

Wyzwany tylko wzruszył ramionami.

– Chcecie się z nami równać, dzieciuchy? – spytał szczerze ubawiony. – Szaleju się objedlicie czy co? Jaki pożytek będę miał z tego, że naznaczę jednemu z was skórę?

– Jeśli wygrasz... to taki! – Bolko wyciągnął zza pazuchy pękątką sakiewkę i wysypał na stół wachlarz srebrnych monet.

Śmiechy raptownie ucichły, w karczmie zapadła cisza jak makiem zasiał. Nieczęsto widywano tu takie bogactwo, a już na pewno nie u podobnych do nas młodzików.

Pacholek nerwowo oblizwał wargi.

– Nie mamy tyle – mruknął w końcu niepewnie. – Ale dorzucimy dziewczki... i nasze miecze!

– Arnulfie! – Jeden z jego towarzyszy zaprotestował, ale ten uciszył go ruchem dłoni.

– To tylko krnąbrne dzieciaki – burknął. – Obiecuję, że nie zrobię im krzywdy. Niech wybiorą spośród siebie najtęższego, ot, choćby tego osiłka. – Wskazał na Borutę, który miał tylko szesnaście lat, ale w barach był szerszy od niejednego starszego od siebie męża.

Miałem dość tych przepychanek, więc odciągnąłem Bolka na stronę, żeby przemówić mu do rozumu.

– Giez ukąsił cię w tyłek? – syknąłem. – Mieliśmy jechać do Brenny, po co wszczynasz zwady z miejscowymi?

– Za długo przebywałem w gościnie u Niemców, na odchodnym chcę im utrzcę nosa – wycedził z pochmurną miną.

– A jeśli to oni utrają go nam? – zdenerwowałem się nie na żarty. – Boruta jest silny jak wół, ale równie powolny. Co będzie, jak ten drań go posieka? W dodatku stracisz całe srebro!

– Nie Boruta będzie walczył, tylko ty.

Z wrażenia zaparło mi dech.

– A to dlaczego?!

– Bo ja tak chcę – odparł Bolko, patrząc mi prosto w oczy. – Jestem synem księcia, a ty obiecałeś, że będziesz mi wierny. Udo wodnij, że wtedy, w Magdeburgu, mówiłeś prawdę!

Przyrodni brat przypomniał mi obietnicę, którą złożyłem podczas naszej niewoli... Ale chyba niezbyt dobrze słyszał, co mu wówczas przyrzekłem.

– Powiedziałem, że nigdy nie wystąpię przeciwko tobie – warknąłem. – Nie mówiłem, że będę robił wszystko, co mi każesz! Nie jestem twoim rabem\*!

– Hej! Zdecydowaliście się już? – spytał kpiąco Arnulf. – A może obleciał was strach? W takim razie dawajcie srebro i idźcie w swoją stronę, obiecuję, że nikt nie zrobi wam krzywdy!

Wściekły jak osa odepchnąłem Bolka i ruszyłem w jego stronę.

– Zaraz zobaczymy, kto komu robi krzywdę – syknąłem.

Żaden z nas nie miał tarczy ani hełmu, nie włożyliśmy też kolczug. Po prostu stanęliśmy naprzeciwko siebie z obnażonymi mieczami w dłoniach i zaczęliśmy krążyć, czekając na dogodną okazję do zadania ciosu.

Byłem wysokim i chudym jak trzcina nastolatkiem, ale choć dorównywałem mojemu przeciwnikowi wzrostem, to wyglądałem przy nim jak chucherko, w dodatku on był wojem w służbie miejscowego rycerza, a ja... Cóż, byłem nikiem. Nic dziwnego, że zgromadzeni w karczmie Niemcy nie dawali mi żadnych szans. Byli pewni, że ich kompan zaraz da mi nauczkę, upokorzy i odeśle z płaczem do domu. Zaczęto zawierać zakłady nie o to, kto wygra, ale ile wytrzymam i jak skończy się dla mnie ta przygoda.

Wreszcie Arnulf zadał pierwszy cios, machnął mieczem na odlew, celując w moją twarz, a ja nawet nie sparowałem uderzenia, po prostu odchyliłem się, pozwalając, żeby ostrze ze świstem prze-

cięło powietrze. Poirytowany Niemiec uderzył jeszcze raz, z tym samym skutkiem. Zaklął i ciął nisko, celując w nogi, ale było to tak oczywiste, że bez trudu odskoczyłem.

Arnulf poczerwieniał na twarzy i pchnął mieczem, wkładając w sztych całą siłę, ale i tym razem nie udało mu się mnie dosięgnąć. Zrobiłem unik, a on przeleciał obok mnie jak rozpędzony byk i wpadł na palenisko, wywracając zawieszony nad nim kocioł z zupą. Płomienie zasyczały i wewnątrz karczmy wypełnił gęsty dym. Któraś z dziewczek zachichotała nerwowo.

Nagle zrozumiałem, z kim mam do czynienia. Mojego przeciwnika oderwano siłą od pług i kazano trzymać straż w przygranicznym zamku, ale nigdy nie był na wojnie i nie walczył o życie. Tymczasem ja ostatnie siedem lat spędziłem w Zamku Sokołów, nieustannie ćwicząc się w walce. Moim mistrzem był nie byle kto, bo sam kulawy Herman, człowiek, który zjadł na wojacze zęby, a po bitwie pod Reknicą ściał stu obodrzyckich jeńców i ani razu nie musiał poprawiać cięcia.

Nagle opuściło mnie całe zdenerwowanie, prawie roześmiałem się na myśl, że Bolko chciał mnie wystawić na próbę, a jedynie dostarczył mi rozrywki.

– Będziesz się bił czy skakał jak cholerny konik polny! – zazgrzytał zębami Arnulf.

W odpowiedzi puściłem miecz w ruch, tak jak mnie uczył Herman. Przed nosem zdumionego Niemca załśnił srebrzysty młyniec. Na próżno wodził za nim wzrokiem, nie wiedząc, co właściwie ma począć. Nagle klinga znieruchomiała, ostrze niemal dotykało jego nosa. Arnulf ryknął jak ranny zwierz i machnął swoim mieczem, ale znowu przeciął jedynie powietrze. Machnął po raz drugi – z tym samym skutkiem.

W karczmie rozległy się złośliwe przytyki pod jego adresem.

– To ci chwyt! Z dzieciuchem nie może dać sobie rady! A jakby tak miał się spotkać oko w oko z prawdziwym wojem?

---

\* Rab – niewolnik.

– Nie ma się co śmiać, Gizbert von Plothe ściąga z nas niemało na utrzymanie drużyny. Co będzie, jak zamiast podobnych chłystków przyjdą Wieleci albo Obodrzyce? Kto nas wówczas obroni?

– Na pewno nie te ciamajdy...

Widzowie byli zawiedzeni i rozgoryczeni, a najbardziej ci, którzy założyli się, że woj raz-dwa mnie pokona i właśnie stracili swoje srebro. Jeden z nich rzucił w stronę Arnulfa obgryzioną kość.

– Nuż! Weź się do roboty, wypierdku!

Po policzkach upokorzonego Niemca pocięły łzy.

Nagle bez ostrzeżenia rzucił się na mnie, wymachując mieczem. W karczmie zapanowała grobowa cisza.

Przez chwilę nie wiedziałem, co się właściwie stało, mój przeciwnik jęknął boleśnie i zamknął oczy, a potem osunął się na kolana. Z jego pleców wystawało czerwone od krwi ostrze miecza.

## O pierwszej bitwie Bolesława Chrobrego i o tym, jak śmierć zabrała jednego z Sokołów

**B**jörn przerwał opowieść i w zadumie pogłaskał się po brodzie. - Tak właśnie było. Przebiłem swojego przeciwnika mieczem... i nawet nie zauważyłem, kiedy to się stało. Nie chciałem go zabić, po prostu zrobiłem wszystko dokładnie tak, jak nauczył mnie Herman w Zamku Sokołów. Nie był to pierwszy człowiek, którego uśmierciłem, ale tamtego dnia uzmysłowiłem sobie, że to dziecinnie łatwe... I ta myśl przeraziła mnie.

- To wcale nie jest takie proste. - Bork Jorundsson pokręcił głową. - Widziałem ludzi, którzy czepiali się życia wszystkimi pazurami. Kiedyś z rozkazu starego jarla Haakona topiliśmy w przerębli pewnego księdza, trzy razy wpychaliśmy go pod lód i trzy razy wypływał z powrotem jak foka...

- Może to nie był ksiądz, tylko selkie\*? - zasugerował Mały Orm, a Uve Krzykacz pokiwał głową, żeby pokazać, że istotnie mogło tak być.

Czarny Glum tylko prychnął pogardliwie.

- Gdyby to był selkie, to raz-dwa potopiłby wszystkich! Z nimi nie ma żartów! Poza tym on za żadne skarby nie zostałby księdzem, te stwory trzymają się z daleka od poświęconej ziemi!

Rozgorzała kłótnia na temat zwyczajów ludzi-fok i tego, na jaką odległość mogą zbliżyć się do kościoła, którą przerwał dopiero Brendan z Corku.

---

\* Selkie – ludzie-foki z legend irlandzkich i szkockich, ich żywiołem było morze, ale zdarzały się przypadki, gdy selkie-dziewczyna zrzucała zwierzęcą skórę i mieszkła między ludźmi.